

Informacje o książce

Autor: Erik Durschmied
Tłumaczenie: Agnieszka Kowalska, Kamil Omar Kuraszkiewicz
Wydawca: Amber
Rok wydania: 1999
Stron: 223
Wymiary: 23,4 x 16,4 x 1,1 cm
Oprawa: miękka
ISBN: 83-7245-223-7

Recenzja

Autorem książki jest Erik Durschmied, korespondent wojenny BBC i CBS w Wietnamie, Iranie, Iraku, Belfaście, Bejrucie, Chile, na Kubie i w Afganistanie, wybitny dziennikarz, laureat wielu nagród. W swojej książce proponuje nam własne, subiektywne spojrzenie na historię wojen i to co w różnego rodzaju konfliktach zbrojnych było decydujące. Postawiona już na wstępie teza jest banalnie prosta i czysto publicystyczna: o zwycięstwie w wielu historycznych bitwach, od czasów najdawniejszych aż po współczesne, zdecydował w pierwszej kolejności przypadek. Myśl ta w swoim pierwowzorze nie jest nowa. Wywodzi się od znanego XIX-wiecznego teoretyka wojskowości – gen. Carla von Clausewitza. O ile jednak Clausewitz widział w przypadku jeden z czynników działań wojennych, to autor recenzowanej pozycji przyznaje mu znaczenie decydujące. Znamienny jest jeden z podtytułów książki: „O tym jak głupota i przypadek zmieniały historię". Zdaniem autora tak naprawdę o wynikach bitew często przesądzały zdarzenia zupełnie drugorzędne, nie zaś plany i zdolności dowódców. Tezę tę usiłuje zilustrować czasami dość zaskakującymi wydarzeniami. Dla przykładu, podczas bitwy pod Waterloo o klęsce Napoleona przesądzić miał brak na wyposażeniu szarżującej kawalerii Ney'a gwoździ do zagowożdżania angielskich dział, co sprawiło, że nie była ona w stanie trwale wyłączyć ich z walki. Ponieważ w historii było bardzo wiele bitew, a książka nie jest w żadnym miejscu ograniczona chronologicznie, przy przyjęciu takiego podejścia pojawia się szerokie pole do popisu. Swoje wywody kończy autor swoistym podsumowaniem o czynniku zwrotnym konfliktów. Terminem tym posługuje się zresztą bardzo często, nadając mu wręcz znaczenie magiczne.

Merytorycznie o wywodach autora można powiedzieć tyle, że z nieszczęśliwymi przypadkami na ogół bywało na wojnie tak, że jakoś częściej przytrafiały się słabszym wodzom. Nieraz, zachodzące w trakcie bitew losowe wydarzenia, w których upatruje on przełomowych momentów, stanowiły wynik szerszego planu albo jednego z czynników, który miał istotny wpływ na ostateczny rezultat. Niestety, mimo szumnych zapowiedzi i miejscami ciekawych spostrzeżeń, generalnie autor dokonał po prostu daleko idącego spłycenia tezy Clausewitza o istotnej roli przypadku w działaniach wojennych, przedstawiając ją w uwspółcześnionej wersji. Jeśli chodzi o moje osobiste zapatrywania, wydaje mi się, że na ogół jest tak, jak to ujmują komentatorzy sportowi – że szczęście sprzyja lepszym.

Niestety, poza powyższym książka zawiera też wiele błędów oraz daleko idących uproszczeń, trudnych do zaakceptowania dla czytelnika posiadającego przynajmniej jaką taką wiedzę historyczną.

I tak, dla przykładu, na str. 47 autor pisze:
Rankiem 16 czerwca Ney ponownie zaatakował Quatre Bras. Tym razem Wellington zdał sobie sprawę ze strategicznego znaczenia skrzyżowania dróg i wysłał tam dodatkowe oddziały mające wzmocnić obronę. Napoleon wysłał Neyowi wsparcie w postaci korpusu d'Erlona. Zaszło jednak nieporozumienie z powodu pospiesznie nabazgranego rozkazu cesarza, który Ney błędnie zrozumiał i odesłał korpus d'Erlona spod Quatre Bras. Oddziały d'Erlona rozpoczęły bezcelową wędrówkę między dwoma frontami.

Jak to się ma do rzeczywistości? Było dokładnie na odwrót: Napoleon wydał d'Erlonowi (dowódca I Korpusu Wielkiej Armii) rozkaz marszu na tyły Prusaków pod Ligny, jednak nastąpiło to w ostatniej chwili i nie powiadomiono o tym na czas Neya, który na podstawie wcześniejszych, niejasnych ustaleń, liczył, że korpus d'Erlona przypadnie jemu i wesprze go w bitwie pod Quatre Bras. Gdy wraz z napływem kolejnych oddziałów Wellingtona pod Quatre Bras sytuacja zgrupowania Neya stawała się coraz cięższa, ten wysyła do d'Erlona dramatyczny rozkaz, by szedł mu na pomoc. D'Erlon postanawia usłuchać Neya i zawraca z drogi pod Ligny. Ostatecznie w wyniku sprzecznych rozkazów od Napoleona i Neya nie dociera do wieczora ani pod Ligny, ani pod Quatre Bras. W ramach uzupełnienia dodajmy, że bitwa pod Quatre Bras nie zaczęła się, tak jak pisze autor, rankiem, ale koło południa, gdyż Ney wstrzymywał się z atakiem do czasu aż wszystkie oddziały nadejdą, w szczególności właśnie korpus d'Erlona. Trudno też nazwać ją „ponownym" atakiem.

Kolejny fragment, ze str. 48:

Napoleon, artyleryjski geniusz, zdawał sobie sprawę, że najważniejszą siłę uderzeniową będą stanowić nie ludzie z bagnetami, lecz mądrze rozmieszczone działa. Doprowadził tę sztukę do prawdziwej maestrii. Udoskonalona współczesna artyleria stała się równie ważną bronią, jak atak na bagnety wymyślony pół wieku wcześniej przez Fryderyka Wielkiego. Taktyka cesarza doprowadziła do dominacji artylerii nad muszkietami piechoty.

Fragment ten sugeruje, że główną taktyką Prusaków był atak na bagnety, zaś Napoleon, jakby w opozycji do tego, oparł się na artylerii, która wyparła jako metodę walki atak na bagnety. W rzeczywistości z tymi bagnetami było na odwrót, bo armia pruska opierała się właśnie na sile ognia prowadzonego przez piechotę, ustawioną w szyku liniowym, zaś Napoleon, nawiązując do doświadczeń wojen rewolucyjnych, szeroko zaprowadził szyk kolumnowy, przeznaczony głównie do ataku na bagnety. Epoka napoleońska była wręcz okresem, w którym odrodziły się sposoby walki bezpośredniej, takie jak atak na bagnety czy szarża kawalerii. Ostatnie zdanie jest także nieporozumieniem. Nie ma mowy w tej epoce o dominacji artylerii nad piechotą. Każdy rodzaj broni miał swoje zadania oraz swoją rolę na polu bitwy i musiał współdziałać z pozostałymi. Można co najwyżej mówić o wzroście znaczenia artylerii.

Ostatni fragment, podsumowujący rozważania o bitwie pod Waterloo, ze str. 64:
W 1805 roku Wielka Brytania zdobyła dominację na morzu dzięki zwycięstwu pod Trafalgarem i od tego czasu Anglia stała się bankierem świata. Przez następne 100 lat „Pax Britannica" rządziła niepodzielnie. W 1806 roku liczące 800 lat Święte Cesarstwo Rzymskie upadło wraz z abdykacją austriackiego cesarza Franciszka II. Zastąpiła je luźna konfederacja czterdziestu niezależnych państw niemieckich pod przewodnictwem nowej potęgi militarnej, Prus. Pod Jeną i Auerstaedt Napoleon zniszczył ostatnie bastiony europejskiego feudalizmu. Tam zrodził się współczesny europejski nacjonalizm, który 7 lat później – w 1813 roku, w czasie Bitwy Narodów pod Lipskiem zniszczył samego cesarza.

Parę uwag:
- Wielka Brytania nie zdobyła dominacji na morzu w 1805, posiadała ją już wcześniej. Bankierem Europy też była już wcześniej, m.in. subsydiując Prusy podczas wojny siedmioletniej.
- Państwa powstałe pod rozwiązaniu Świętego Cesarstwa Rzymskiego utworzyły w 1805-1806 Związek Reński, pod przewodem Francji, a nie Prus.
- Odnośnie ostatnich bastionów europejskiego feudalizmu, pokonanych rzekomo w 1806, to pozostawała jeszcze Rosja, która wówczas miała się zupełnie dobrze i której Napoleon nie zniszczył ani w 1806 ani później.
- Zabawne jest też sformułowanie o współczesnym, czyli istniejącym obecnie nacjonalizmie europejskim, zrodzonym w bitwie pod Lipskiem. Trudno utożsamiać obecnie istniejący XX-wieczny nacjonalizm z XIX-wiecznym.

I tak by można długo. Dodajmy, że w rozdziale tym z gen. Desaixa zrobiono „Deveixa", zaś z marszałka Davouta „Devouta". Podobnie poprzekręcane są nazwiska francuskich dowódców dywizji, co nienajlepiej świadczy nie tylko o autorze, ale także o tłumaczach.

Wszystkie cytaty wziąłem z rozdziału o bitwie pod Waterloo (osobiste zainteresowania), z innych rozdziałów, dla przykładu, jest równie obszerny, poświęcony słynnemu rejsowi pancernika „Bismarck" po Atlantyku, kiedy to doszło do jego spotkania z „Hoodem". W rozdziale tym na str. 149-150 autor m.in. pisze:
Pancernik „Bismarck", potężny i elegancki, o pełnych wdzięku liniach, był najpiękniejszym i największym okrętem, jaki kiedykolwiek zbudowano. [...]
Był dumny; żadna inna flota nie mogła się poszczycić takim okrętem, tak ciężko uzbrojonym i opancerzonym, po prostu niezniszczalnym.

Nie trzeba być znawcą marynistyki, by ocenić wartość merytoryczną tych stwierdzeń.

Podsumowując, książka jest typowo „publicystyczna", do tego z licznymi uproszczeniami i błędami. Niestety jest ich wiele, zbyt wiele. Autor chciał się popisać przed nami swoją wiedzą i erudycją, tworząc uniwersalną „teorię wszystkiego", a wyszła z tego pretensjonalna książeczka, w najlepszym przypadku „do czytania pod prysznicem". Jedyne czego nie można panu Durschmiedowi odmówić to barwny język. Szkoda, że nie zajął się pisaniem fikcyjnych opowieści. W ramach takiej twórczości z pewnością odniósłby większe sukcesy.

Autor: *Raleen*

Opublikowano 20.11.2009 r.